



KNIAŻ JAREMA

JAN WIDACKI

 **SAGA**
EGMONT



KNIAŻ JAREMA

JAN WIDACKI

Jan Widacki

Kniaź Jarema

Saga

Kniaź Jarema

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright © 1984, 2021 Jan Widacki i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788726890211

1. Wydanie w formie e-booka
Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów
innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą
Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com
SAGA Egmont, spółka wydawnictwa Egmont

ZAMIAST WSTĘPU

Wykupując zrujnowane dobra wiśniowieckie, hrabia Włodzimierz Plater przeliczył się ze swymi możliwościami. Mimo najlepszej woli nowego gospodarza i jego wysiłków, nie udało się zapobiec klęsce. Zapadła decyzja o wystawieniu na licytację prastarego gniazda jednego z najznakomitszych w Rzeczypospolitej rodów.

W niewesołych nastrojach poszli więc tego dnia spać domownicy wiśniowieckiego zamku. Nocą zbudził ich hałas dobiegający z sali portretowej. Jakiś łoskot i trzask. Gdy wbiegli tam, oczom ich ukazał się leżący na ziemi, w roztrzaskanych ramach portret króla Michała Korybuta, który dziwnym i niewytłumaczonym trafem spadł ze ściany. Grozę, samego z siebie dość niesamowitego przypadku powiększyło przypomnienie, że właśnie minęła dwóchsetna rocznica śmierci króla. Był rok 1873.

Ostatni z rodu Wiśniowieckich — książę Michał Serwacy nie żył już od lat prawie stu trzydziestu. Od lat ponad osiemdziesięciu nie istniało już państwo, z którego historią tak ściśle związani byli ci książęta z Wiśniowca. W czasie ostatniego półwiecza szlacheckiej Rzeczypospolitej, kiedy państwo chyliło się coraz gwałtowniej ku upadkowi, nie było już kniaziów Wiśniowieckich. Zostały po nich zrujnowane przez kolejnych spadkobierców dobra, nie zawsze wdzięczna pamięć i 30 naturalnej wielkości portretów w sali wiśniowieckiego zamku. Spośród owych 30 portretów, 12 jesienią 1745 „wzięło udział” w czterodniowej ceremonii pogrzebowej Michała Serwacego, wojewody wileńskiego i hetmana wielkiego litewskiego. Zawieszono je

na ozdobionych od podłogi aż do gzymsu karmazynowym adamaszkiem ścianach kościoła karmelitów w Wiśniowcu.

Sprowadzono je tu, by świadczyły o potędze i długowieczności rodu a przy tym, jakby się chciało przed nimi pochwalić, z jaką pompą i z jakim przepychem żegna się tego, który był z nich ostatnim. A było się czym pochwalić. Ściany kościoła — fundowanego niegdyś przez Jeremiego Wiśniowieckiego — przybrano ośmioma tysiącami łokci karmazynowego adamaszku, udrapowano złocistym jedwabiem (7 tysięcy łokci). Do dotychczasowych 10 ołtarzy dobudowano jeszcze 27 nowych, a na każdym płonęły bez przerwy po 3 pary woskowych świec. Czterdziestu księży bez przerwy odprawiało nabożeństwa za duszę zmarłego.

Na środku prezbiterium stał piętrowy katafalk, nad którym pod samym sklepieniem kościoła zwieszała się „mitra axamitna półczwarta w dyametrze szeroka”, spod której do ziemi, do 4 rogów kościoła zwieszały się 4 welony z aksamitu karmazynowego, podbitego gronostajami! Na katafalku w otwartej trumnie leżało ciało zmarłego przed rokiem księcia, „a jednak mało co skażone, w purpurowej axamitnej czamarze, sobolami podbitej”.

W kościele tłoczyli się senatorowie, biskupi obydwu obrządków, tłum szlachty strojnej. Wysłuchali oni 4 głównych mszy żałobnych i 4 kazań, z których jedno przez ponad 3 godziny trwało, a pozostałe niewiele tylko były krótsze. Po mszach, rozpoczął się ceremoniał wojskowy, odprawiony oddzielnie przez wojska polskiego i cudzoziemskiego autoramentu.

Najpierw więc u stóp katafalku „towarzysz petyhorski pałasz rzucił, później towarzysz husarski kopię kruszył, po mim chorąży chorągiew rzucał, a na koniec pułkownik husarski Ślizień z łoskotem rzucił hetmańską buławę. Po nich oficerowie cudzoziemskiego autoramentu chorągwie i

szpady rzucali, szpontony [rodzaj krótkiej piki-halabardy] kruszyli”.

Żegnała Rzeczypospolita ostatniego z Wiśniowieckich z przepychem, z jakim mało którego króla żegnała.

Wątpić jednak należy, czy portretowi Wiśniowieccy — ściągnięci do karmelickiego kościoła na świadków tej uroczystości — mogli być zachwyceni. Rzeczypospolita ich czasów potęgą swą i wolnościami zadziwiała świat. Dziś — bezwolna i bezsilna — była przedmiotem intryg i zakusów coraz bardziej drapieżnych sąsiadów. Asystująca pogrzebowi husarią nie była już, jak za ich czasów, jazdą straszną każdemu nieprzyjacielowi. Świat nazywał teraz husarzy „pancernymi zającami”, zaś asysta przy pogrzebach pozostała jedyną formą racjonalnego jej wykorzystania. Dlatego też sądzić należy, że portretowych Wiśniowieckich niewiele chyba pocieszyły ostatnie słowa wypowiedziane przez kaznodzieję do ich zmarłego potomka:

„Xsieżyc twój umniejszony nie będzie, bo Pan będzie Tobie światłem wiecznym i skończą się dni smutku twego”.

Ksieżyc Korybutów błyszczał zawsze światłem odbitym od słońca potęgi Rzeczypospolitej, a światło to zdawało się gasnąć ostatecznie.

W 1786 roku, udając się do Kaniowa na spotkanie z Katarzyną II, Stanisław August zatrzymał się w Wiśniowcu. Podejmowany hucznie przez Mniszchów, którzy po Wiśniowieckich dziedziczyli zamek, jadł obiad w sali portretowej. Pod wzrokiem trzydziestu Wiśniowieckich — świadków największej potęgi Rzeczypospolitej — musiał czuć się bardzo nieswojo, ten król, który jechał pokornie swe służby Jaśnie Imperatorowej ofiarować i w związku z wojną turecką wprosić się na sojusznika. Dawało to co prawda szanse na zwiększenie polskiej siły zbrojnej, jednak sam fakt konieczności zwracania się w tej sprawie do

Katarzyny o zgodę był — jakby na to nie patrzeć — upokarzający. Z planów rozbudowy wojska — pod pozorem tworzenia korpusu na wojnę z Turcją — nic nie wyszło. Sprytna Katarzyna zgodziła się jedynie na korpus dwunastotysięczny. złożony z samej kawalerii, podzielony na trzy brygady przydzielone do trzech armii rosyjskich i oczywiście poddane wspólnemu (czytaj: rosyjskiemu) dowództwu. Wyjeżdżając do Wiśniowca takiego finału — w swej naiwności — Stanisław August nie przewidywał i w marzeniach widział się już wodzem wielkiej armii. Być może w oddawaniu się tym marzeniom przeszkadzał mu wzrok trzydziestu patrzących nań ze swych portretów Wiśniowieckich, który wrażliwemu z natury Stanisławowi Augustowi wydał się tego dnia dziwnie twardy i szyderczy. A może ten król, bez charakteru ale bystrym obdarzony umysłem, w potęgę tych kresowych książąt i ich niegdysiejszej samowoli widział załączek swego i dzisiejszego upokorzenia? Dość, że po obiedzie król udał się do swych apartamentów i na kolację do sali portretowej już nie zszedł.

I. RÓD KSIĄŻĄT WIŚNIOWIECKICH

Ród Wiśniowieckich wyodrębnił się na przełomie XV i XVI wieku z rodu książąt Zbaraskich. Protoplastą był książę Michał Zbaraski, dziedzic zamku w Wiśniowcu, od którego wziął nazwisko. Zmarł prawdopodobnie około 1516 roku, a więc na początku panowania Zygmunta Starego, wkrótce po zwycięstwie nad Tatarami pod Wiśniowcem. Książę Michał był dwukrotnie żonaty. Z pierwszej żony pozostawił trzech synów. Najstarszy z nich, Iwan, zapoczątkował linię Wiśniowieckich, zwaną przez późniejszych genealogów „książęcą” — dla odróżnienia od linii „królewskiej”, zapoczątkowanej przez syna z drugiego małżeństwa, Aleksandra, z kończącej się na królu Michale I Korybucie Wiśniowieckim.

Książęta Zbarascy, a po nich Wiśniowieccy, a także spokrewnieni z nimi Woronieccy i Poryccy uważali się za Korybutowiczów, tj. potomków Korybuta-Dymitra, brata Jagiełły i używali przydomka „Korybut”.

To pokrewieństwo z Jagiellonami aż do połowy XIX wieku nie było przez nikogo kwestionowane. Dopiero Kazimierz Stadnicki w książce *Bracia Władysława Jagiełły* (Lwów 1867) opierając się na zapisie ze *Zbioru Ruskich Dziejopisów*, że „Korybutowi synowie Iwan, da Zigimont da Teodor bezdietni” wykluczył możliwość istnienia jakichkolwiek prawdziwych Korybutowiczów w następnych pokoleniach. Stadnicki wyszukał też, że w roku 1442, Kazimierz Jagiellończyk nadał Zbaraż niejakiemu Deniskowi Mokosiejewiczowi. Dopiero jego potomkowie — zdaniem Stadnickiego — przybrali nazwisko Zbaraskich, a jeden z

nich, Stefan (1562—86) poślubiwszy Anastazję, córkę Michała księcia Mściławskiego, praprawnuka Jawnuty, syna Giedymina i wszedłszy w ten sposób w koligację z Jagiellonami, zaczął tytułować się księciem. Tak więc nie Korybut Olgierdowicz, wnuk Giedymina, ale nieznany bliżej Mokosiej miałby być protoplastą Zbaraskich i Wiśniowieckich. Opinię Stadnickiego podchwyciło wielu historyków i dziś dość powszechnie kwestionuje się prawo Wiśniowieckich do przydomka „Korybut”, podejrzewając bądź sugerując jakieś XV-wieczne heraldyczne oszustwo.

Obawiam się jednak, że Stadnickiemu uwierzono zbyt pochopnie, bowiem sprawa nie jest bynajmniej tak prosta, jak mogłoby się wydawać. Okazuje się, że w 1434 roku — Zbaraż dzierżył książę Fed’ko, czyli Fiodor zwany Nieświskim. Po jego śmierci (ok. 1442) Zbaraż dostaje wprawdzie Denisk Mokosiejewicz, ale dożywotnio. Mało tego, ów Denisk pozwany jest o Zbaraż przez syna Fed’ka, Wasyla. Wasyl wraz z bratem Jurijem, wracają na Wołyn gdzieś pomiędzy 1450 a 1455 rokiem, wcześniej czasowo rezydują — jak się zdaje — w Drohiczynie. A więc Zbarascy, a tym samym Wiśniowieccy są potomkami kniazia Fed’ka Nieświskiego, a nie Mokosieja! Przemawia za tym także podobieństwo herbów. Tytuł książęcy prawnie więc — poza wszelkimi wątpliwościami — im się należy, a nie jest wynikiem szalbierstwa usługnych heraldyków i genealogów.

Czy jednak ów Fed’ko Nieświski i Fiodor Korybutowicz to jedna i ta sama osoba? Czy też może Fed’ko nie jest synem Korybuta Dymitra, ale jednym z pomniejszych kniaziów wołyńskich?

Cóż wiemy o Fed’ku — protoplaście Zbaraskich i Wiśniowieckich — o którym współczesny mu Długosz pisze, że jest „ze wszystkich książąt litewskich i ruskich najdzielniejszym”? Wiemy m.in., że miał synów, a Fiodor Korybutowicz, wedle przytoczonych przez Stadnickiego

źródło, miał być bezdzietny. Już to wydawać by się mogło, przesądza, że Fed'ko Nieświski i Fiodor Korybutowicz to dwie różne osoby. Rzecz jednak w tym, że źródło to, na którym oparł Stadnicki swe twierdzenie, pełne jest jednak błędów i nieścisłości. Z innych, zupełnie wiarygodnych i potwierdzonych źródeł wynika, że Fiodor Korybutowicz miał jeszcze córki — a więc bezdzietnym na pewno nie był — wiemy o tym z procesu o Łosk, który z Kiszką toczył zięć Fiodora Korybutowicza, książę Iwan.

W sporze o tożsamość Fed'ka Nieświskiego i Fiodora Korybutowicza — swego czasu bardzo zażartym — toczonym przez heraldyków i genealogów, obie strony posiadały pewne argumenty.

Bardziej przekonujące zdaje się przedstawiać Józef Puzyna, uważający Fed'ka Nieświskiego za Fiodora Korybutowicza. Przytacza on następujące fakty:

- w liście wójta z Brajtranu, szpiega krzyżackiego, pisanym z Wołkowyska do wielkiego mistrza w lutym 1432 jest mowa o staroście podolskim Fiodorze Korybutowiczu. Skądinąd wiadomo, że starostą podolskim był wówczas Fed'ko Nieświski;
- w liście Jagiełły do Świdrygiełły (z 22 października 1431) król skarży się na Fed'ka Nieświskiego, który wzbrania się zwrócić staroście Teodorykowi Buczackiemu m.in. Jałtuszków, należący do Kamieńca, a wiadomo, że to Fiodor Korybutowicz trzymał Jałtuszków;
- Fed'ko Nieświski ma niewątpliwie brata Iwaszkę (Iwana). Brata Iwana ma także Fiodor Korybutowicz. Mało prawdopodobne wydaje się, aby w tym samym czasie były aż dwie pary braci książąt o tych samych imionach;
- Wojciech Kojałowicz w swym *Compendium* opisując fakty niewątpliwie związane z Fed'kiem Nieświskim, nazywa go „Korybutowiczem”.

Dodajmy od siebie, że przed Stadnickim — jak wspomniano — nikt Korybutowego pochodzenia Wiśniowieckich nie kwestionował, że dla współczesnych (np. dla Strykowskiego) było ono oczywiste. Również Joachim Lelewel w swych *Dziejach Litwy* nazywa Fiodora Korybutowicza „ojcem Wiśniowieckim, Zbaraskich, Poryckich i Woronieckich”. Za syna Korybuta uważają Fed’ka Nieświskiego także historycy ukraińscy (np. Mychajło Hruszewskij).

Ów sporny książę Fed’ko Nieświski, który takiego genealogom i heraldykom narobił kłopotu i wyzwolił w nich tyle emocji, był postacią bardzo interesującą. Szalenie odważny w boju, niestety w sojuszach, wichrowaty, ambitny i uparty, stanowić mógł doskonały pierwowzór niejednego późniejszego magnata warchoła, a naturę podobnych mu było wielu spośród późniejszych Wiśniowieckich.

Dziedzicznie władał włościami: zbaraską, winnicką oraz chmielnicką. Władał też rozległymi starostwami na Wołyniu i Ukrainie. Włości te i zamki otrzymał niegdyś — w zamian za utraconą Siewierszczyznę Dymitr Korybut. Po roku 1422 Fed’ko uczestniczy we wszystkich ważniejszych na Litwie i Rusi wydarzeniach.

Początkowo, jako stronnik Świdrygiełły walczy przeciw Jagielle. Podole uważa za swoje, nie chce nań wpuścić nowo mianowanego starosty Teodoryka Buczackiego, którego rozbił pod Kamieńcem i wziął do niewoli. Później wraz z księciem Nosem oblegał Brześć. Naraził się w czymś Świdrygiełły i ten wrzucił go do więzienia (1433). Uwolniony za wstawiennictwem panów polskich (z którymi już wcześniej musiał mieć jakieś konszachty), 14 września 1433 składa hołd królowi, królowej i Koronie Polskiej, obiecując wierność i posłuszeństwo. W dwa lata później już o tym nie pamięta, kuma się ze swym niedawnym prześladowcą a dawniejszym sojusznikiem Świdrygiełłą,

którego aktualnie wspiera mistrz inflancki. Tym razem jednak Fed'ko stojąc otwarcie po stronie Świdrygiełły pod Wiłkomierzem pomylił się i postawił na złego konia. Zygmunt Kiejstutowicz, wspierany przez 12 tysięcy jazdy polskiej gromi inflantczyków (ginie wówczas sam mistrz inflancki Kerskorf), Świdrygiełło ledwie spod Wiłkomierza uchodzi z życiem. Co stało się wówczas z Fed'kiem, nie wiemy. Być może opuścił pobitego sojusznika i znów próbował stawiać na Koronę Polską, nie wiadomo. Dość, że w 1440 wita królewicza Kazimierza wjeżdżającego na Litwę. Wygląda jednak na to, że w szczerść tych ostatnich umizgów nie uwierzono, bo w tym mniej więcej czasie jego Zbaraż został nadany Mokosiejewiczowi. Potomkowie Fed'ka muszą się tułać gdzieś po Podlasiu, z dala od Wołynia i Podola, na który powrócą dopiero jego wnukowie. Starszy z wnuków, Semen Wasylewicz Nieświski, w 1463 odzyska Zbaraż, wraz z którym w 1474. broniąc się Tatarom spłonie drugi z braci: Wasyl Wasylewicz Nieświski. Od tego czasu kniaziowie na Zbarażu zwą się już Zbaraskimi.

Pierwsi Wiśniowieccy nie piastowali ważniejszych urzędów, ani też nie odgrywali poważniejszej roli politycznej. Najbardziej znanym z nich był chyba książę Dymitr. Do wielkiej polityki nie garnął się, prowadził za to na dalekich kresach swoją własną. Poprzestał na niewiele znaczących ale dających dochód starostwach czerkaskim i kaniowskim. W czasie kiedy Andrzej Frycz Modrzewski pisał *Onaprawie Rzeczypospolitej*, Rej pokazywał wszem i wobec „że Polacy nie gęsi”, a Jan z Czarnolasu wyrastał na poetę najwyższej europejskiej miary — książę Dymitr planował kolejne łupieskie wyprawy przeciw poddanym sułtana. W czasie kiedy polska myśl polityczna sięgała swych wyżyn, Dymitr rozważał czy lepiej tym razem złupić Krym, czy Wołoszczyznę. Ten sławny awanturnik, książę-

kozak przez kozaków zwany „Bajdą”, pierwowzór jakichś sienkiewiczowskich Kurcewiczów, tyle że znacznie od nich potężniejszy — działając na własną rękę wyłącznie w celach rozbójniczych, przedsięwziął liczne wyprawy przeciw Tatarom i Turkom. W latach 1554—55 ufortyfikował dla własnych celów, jedną z wysp w dolnym biegu Dniepru, Małą Chorotycę, dając początek Siczy Zaporoskiej.

Rzeczpospolita nie mogła, ze względów politycznych, popierać kozackich eskapad Dymitra, nie chciała bowiem prowokować wojny z Turcją. Wówczas Dymitr poszukał innego protektora. Awanturniczy książę zaczął łupić pogranicze tatarsko-tureckie w imieniu Iwana IV Groźnego, od którego nominalnie przyjął służbę. Zbrzydła ona jednak kniaziowi szybko, więc ukorzył się przed Zygmuntem Augustem i uzyskał przebaczenie. Król krzywił się wprawdzie, że jego starosta miast zamków kresowych pilnować wolał przewodzić tej zbieraninie „temu chłopstu a kozactwu, które się około niego kupiło”, a przewodząc im „w celach zuchwałej a niecnotliwej ambicji, straconym został dla kraju”. Ukorzywszy się przed królem, obiecał się książę odmienić. Spokojnie jednak w Czerkasach wysiedzieć nie mógł i w 1559 znów o nim głośno: w osiem tysięcy koni wpada do Krymu, odbija jasyr, uprowadza jeńców i bierze bogate łupy. W cztery lata później interweniuje na Wołoszczyźnie. Ta wyprawa okazała się jednak dla Bajdy-Wiśniowieckiego ostatnią. Zwabiony podstępem dostaje się do niewoli. Ze skutego kajdanami Bajdy robią Wołosi prezent sułtanowi Solimanowi. Sułtan podziwiając jego męstwo, ponoć — jeśli wierzyć legendzie — zaproponował mu córkę za żonę, stawiając jednak jako warunek przyjęcie islamu. Hardy Dymitr miał — jak głosi kozacka duma — odpowiedzieć sułtanowi „twoje doczka choroszaja, twoja wiara proklataja” Mb też nazwać islam „psią wiarą” jak zapisał polski pamiętnikarz, dość że rozgniewany sułtan

kazał go w wymyślny sposób uśmiercić. Powieszono więc Dymitra w Carogrodzie żywcem za żebro na haku niczym Janosika. Janosik powieszony „za ziobro za poślednie” zmarł sobie najspokojniej, a i tak przeszedł do legendy. Dymitr wisząc na haku dopiero największych dokonywał wyczynów, a dziś mało kto o nim wie. Otóż Dymitrowi pacholek miał podać łuk i strzały, którymi straszliwy książę jeszcze trzeciego dnia raził Turków i nawet ranił samego sułtana, który przyszedł pogapić się na to dziwowisko. Wtedy dobito Bajdę. Tyle legenda żyjąca w polskich i kozackich pieśniach. Maciej Strykowski, który w 1574 brał udział w poselstwie do sułtana, wspomina w swej kronice, że widział w Stambule jego grób. Świadczyłoby to o tym, że Turcy rzeczywiście potraktowali Dymitra honorowo.

Bajda-Wiśniowiecki uważany był przez Kozaków za bohatera. Poświęcili mu oni wiele swych pieśni i dum. Przetrwały one w ludzie ukraińskim aż do XIX wieku, o czym przekonał się osobiście Bohdan Zaleski, któremu spotkany dziad lirnik śpiewał dumy o „kniaziu Wiszniewieckim”. Dopiero ostatnio zaczęto zgłaszać wątpliwości, czy Dymitr Wiśniowiecki i Kozak Bajda to jedna i ta sama osoba. Wątpliwości takie zgłaszają głównie ci, którzy w kozaczyźnie widzą — w sposób wyraźnie wyidealizowany — jedynie postępowy ruch społeczny i kniaziowe dowództwo nad kozakami nie pasuje im do społecznej koncepcji kozaczyzny.

W kilkadziesiąt lat później spory rozgłos uzyskali dwaj inni Wiśniowieccy, książę Adam i książę Konstanty, którzy wsławili się awanturą, tym razem nie tylko na skalę państwową ale w pewnym sensie europejską, nie mającą precedensu w nowożytnych dziejach cywilizowanego świata:

Zaczął się od tego, że książę Adam Wiśniowiecki przyjął do służby młodzieńca, który poprzednio służył u jednego

szlachcica, niejakiego Hoyskiego, a przywędrował teraz do Brahina. Chłopczysko było niewysokie, rude, o dużej okrągłej twarzy, z dwiema dużymi brodawkami: jedną pod nosem, drugą nad okiem. Kiedyś w 1603 będąc z księciem w łaźni, coś mu przez niezdarność przewinił. Książę, niewiele myśląc, trzasnął go z wielkopańska w szeroki pysk, aż klasnęło. Posmutniało chłopczysko, chwilę się zadumało, aż rzekło: „gdybyś Wasza Książęca Mość wiedział kim jestem właściwie, nie uderzyłbyś mnie”. „A ktożeś ty taki?” zapytał zdumiony kniaź i na wszelki wypadek trzepnął pachółka w gębę z drugiej strony. Widocznie przekonał go tym sposobem do celowości dalszych zwierzeń, bo oto dowiedział się, że bije po gębie cara rosyjskiego. (Istnieją jeszcze co najmniej dwie inne wersje „odkrycia” Samozwańca, obydwie jednak rolę „odkrywcy” przypisują Adamowi Wiśniowieckiemu).

Historia miała jakiś rys prawdopodobieństwa, bowiem od czasu śmierci Dymitra, ostatniego syna Iwana IV Groźnego, raz po raz rozchodziły się pogłoski, że carewicz i prawy dziedzic korony moskiewskiej, cudem ocalony żyje.

Czy Adam uwierzył, że wychłastał po gębie cara i chciał tym niecodziennym przecież wyczynem pochwalić się przed krewniakiem, czy też nie dał się nabrać, ale postanowił wykorzystać okazję do dużej awantury, nie wiadomo. Fakt, że przyodział Dymitra odświętnie w polskie szaty i powiózł do księcia Konstantego do Załoziec. Tam plan wielkiej awantury dojrzał. Obaj Wiśniowieccy wraz ze swym podopiecznym wyruszyli w podróż do Krakowa, by monarsze zaprezentować „monarchę”. Po drodze wstąpili do Sambora, do teścia Konstantego, Jerzego Mniszcha, wojewody sandomierskiego, dając mu szansę goszczenia pod swym dachem „cara”. Tu doszło do spotkania carewicza Dymitra z urodziwą córką wojewody Maryną, która, jak z dalszego biegu wydarzeń łatwo wnioskować, od

dawna czekała na jakiegoś królewicza z bajki (a chociażby z Moskwy), a szczególnie gustosowała w chłopakach rudawych z dużymi twarzami, na których rosły brodawki. W tych warunkach trudno się dziwić wybuchowi szalonej miłości od pierwszego wejrzenia. Na widok Maryny amor przebił serce bardzo uczuciowego Dymitra, tak że miłość natychmiast została odwzajemniona.

Tymczasem w Samozwańcu coraz to ktoś nowy już to przez grzeczność, już to cynicznie rozpoznawał prawdziwego Dymitra. Awantura zaczęła przybierać coraz większe rozmiary. Protektorzy przywieźli Dymitra do Krakowa w marcu 1604. Na dworze zapanowała zupełna konsternacja. Zygmunt III rad by przestrzegać poprawnej neutralności wobec Moskwy, z drugiej strony jednak pokusa była zbyt silna. Tym bardziej że Samozwaniec, sam zapewne zaskoczony i nieco oszołomiony swoim wstępnym sukcesem (wokół bitego jeszcze niedawno w gębę sługi skakali książęta krwi i senatorowie), teraz aktywnością swoją zaczął przełamywać impas. W obawie, aby protektorzy się nie rozmyślili, obiecuje Mniszchowi, że gdy tylko zasiądzie na tronie moskiewskim, poślubi Marynę. O takiej karierze jednej ze swych cór Mniszchowie nigdy zapewne nawet nie marzyli.

Przyjął z rąk jezuickich katolicyzm, czym zjednał sobie poparcie tego potężnego w czas kontrreformacji zakonu. Bojąc się, aby Mniszech mimo wszystko się nie rozmyślił, wspaniałomyślny Dymitr obiecał mu jeszcze milion złotych i trochę klejnotów ze skarbca kremłowskiego. Wreszcie Rzeczypospolitej obiecał w zamian za pomoc części Smoleńszczyzny i Siewierszczyzny.

Teraz Wiśniowieccy, a zwłaszcza Mniszech rozpoczęli agitować króla za Samozwańcem. Zygmunt III jest niezdecydowany, radzi się senatorów. Z wyjątkiem Tarnowskiego i Zebrzydowskiego wszyscy byli popieraniu

Dymitra przeciwni. Zamoyski o całej sprawie wyrażał się z najwyższą pogardą, nazywając ją wprost komedią. Król przyjął jednak Dymitra na uroczystej audyencji. Oficjalnie w wojnę z Moskwą się nie wdał, pozwolił jednak magnatom wspierać Samozwańca prywatnymi wojskami. Ci, już w końcu 1603 zaczęli gromadzić swe wojska w Łubniach na Zadnieprzu, gdzie gościny udzielił im trzeci książę Wiśniowiecki — Michał, starosta owrucki, po którym kiedyś jako po dziadku weźmie imię przyszły król Polski. Ostatecznie Mniszech, Konstanty Wiśniowiecki i kilku innych ze swymi nadwornymi wojskami oraz najętymi kozakami wprowadzili Samozwańca do Czernihowszczyzny. Wojska moskiewskie zadały wprawdzie znaczną porażkę interwenientom i zanosilo się na to, że komedia już się zakończy, tymczasem zmarł Borys Godunow (23 kwietnia 1605). Lud zaczął masowo przechodzić na stronę krocącego odtąd w zwycięskim pochodzie ku Moskwie Dymitra. Bojarowie — po miesiącu panowania — złożyli z tronu syna Borysa, Fiodora, otwierając przed Dymitrem bramy stolicy.

Z końcem listopada rozegrał się w Krakowie kolejny akt wielkiej komedii: ślub z Maryną *per procura*. Dymitra zastępował jego kanclerz i podskarbi Atanazy Własiew. Już 9 listopada Własiew przybył do Krakowa w 200 koni. Orszak barwnie ubrany, „wszyscy jeźdźcy w czapach futrzanych sadzonych perłami”, wjechał do miasta bramą Mikołajską, przy której został powitany przez orszak królewski.

W Rynku krakowskim połączono trzy kamienice (obecnie nr 7 i 8) przebijając w nich ściany. Urządzono tam specjalną kaplicę, w której miał się odbyć uroczysty ślub Maryny, odtąd carowej moskiewskiej. Ślub został udzielony 22 listopada w obecności króla Zygmunta III, królewicza Władysława, królowny szwedzkiej Anny, nuncjusza

papieskiego Rangoniego, przez kardynała Bernarda Maciejowskiego. Zjechało się też wielu senatorów. Marynę ubraną w białą haftowaną suknię altembasową, w delikatnej roboty koronie na głowie z perłami wplecionymi w czarne warkocze, wiedli do ołtarza dwaj senatorowie: Miciński, wojewoda łęczycki i Oleśnicki, kasztelan małogoski. Uroczystość zaczęła się bardzo dostojnie i poważnie, zakończyła za to humorystycznie. Na godnie i dobitnie zadane przez kardynała pytanie „czy car Dymitr nie ślubował komu innemu wiary małżeńskiej?” — zastępujący pana młodego Własiew odpowiedział: „a czy ja wiem? pod tym względem żadnej nie udzielił mi instrukcji”. Po czym podrapał się w swą bojarską głowę i bardzo roztropnie zauważył: „jeśliby był komu innemu ślubował z pewnością by mnie nie przysłał”. Odpowiedź zastępcy pana młodego wywołała zrozumiałą konsternację u jednych, śmiechy u innych uczestników uroczystości. Kardynał jednak cierpliwie i dzielnie zachowując powagę, brnął dalej. Dzielność jego i cierpliwość niebawem wystawione być miały na dalsze próby. Najpierw Własiew uparł się, że nie złoży przysięgi po łacinie i nie chciał się dać przekonać. Do kolejnego zgrzytu doszło przy zakładaniu pierścieni — założywszy na palec Maryny piękny pierścień z diamentem, na swój palec nie dał pierścienia założyć, tylko flegmatycznie zapakował go do puzderka i wraz z nim wetknął za pazuchę. Gdy nieszczęsny kardynał chciał związać ręce pary stułą, Własiew niespokojnie się rozejrzał, po czym wyrwał chustkę stojącej najbliżej wojewodzinie smoleńskiej, obwiązał sobie nią łapę i dopiero pozwolił na związanie rąk stułą. Sądził bowiem, że jako dobrze wychowany poddany nie powinien dotykać carowej.

Wreszcie zakończył się obrzęd ślubny, Maryna stała się carową moskiewską, nieszczęsny kardynał otarł spocone czoło. Zakończył się kolejny akt wielkiej komedii odegrany

przy znakomitej publiczności. Akcja następnego aktu przeniosła się do Moskwy. Ale na scenie moskiewskiej komedia szybko zmieniła się w tragedię.

Dymitr w maju przyjął Marynę w Moskwie i powtórzył uroczyste zaślubiny, ale w międzyczasie poróżnił się z Adamem Wiśniowieckim. Trudno dociec, czy niedawny protektor zbyt natarczywie dopominał się za swe niegdysiejsze usługi zapłaty, czy też wciąż jeszcze chciał przy Dymitrze grać rolę opiekuna, co raziło ambicję cara, dość, że kazał księciu Adamowi opuścić Moskwę. Nawiasem mówiąc nieświadomie wyrządził mu wielką przysługę i uchronił od losu, który spotkać miał wkrótce wszystkich obecnych w Moskwie Polaków.

Car tymczasem wszem i wobec ogłaszając, że zebrał 100 tysięcy wojska, miał już udać się do obozu, choć nie bardzo wiadomo na jaką wojnę się wybierał, gdy tymczasem przewrót pozbawił go i tronu, i życia. Polakom, którzy licznie przebywali wówczas w Moskwie, zgotowano straszną rzeź. Na wieść o zamieszkach książę Konstanty Wiśniowiecki dosiadł konia i na czele swych sług chciał jechać na pomoc Dymitrowi. Gdy dowiedział się, że Dymitr nie żyje, zmienił plan i postanowił bronić się we dworze, w którym stacjonował. Broniono się rzeczywiście z determinacją, odpierając kolejne szturmy Moskwiczów. Sam książę z łuku celnie raził przeciwników „bijąc ich nienajgorzej”. Przy zdobywaniu dworu Konstantego miało zginąć „do trzystu Moskwian”, Wiśniowieckiemu „siedemnaście człeka ubito”. Większym ofiarom zapobiegł Wasyl Szujski, który sam na miejsce bitwy przybył i z krzyżem w dłoni proponował rozejm. Dopiero wówczas książę zaniechał dalszej, beznadziejnej obrony i poddał się Szujskiemu. Ten bojąc się, aby jeńca co złego od tłumu nie spotkało, zabrał go z sobą i pozostawił pod silną strażą. W początkach sierpnia wysłano Konstantego do Kostromy, a

innych więźniów polskich, którzy uszli rzezi, część najpierw do Rostowa, potem nad Białe Jezioro, innych do Tweru. Marynę wraz z ojcem do Jarosławia. Później wszystkich znamienitszych przeniesiono do Moskwy. Dla kniazia Konstantego zaczęły się dwa ciężkie lata pobytu w moskiewskich więzieniach. Opuści je dopiero w sierpniu 1608, kiedy Szujski czyniąc zadość podpisanemu rozejmowi, wypuści ich z Moskwy.

Tymczasem, jeszcze w lipcu 1607 pojawił się w Starodubie drugi Samozwaniec, który chociaż „ledwie co nieboszczykowi podobny” natychmiast zyskał poparcie polskich awanturników. Spośród wybitniejszych osobistości w obozie drugiego Samozwańca jako pierwszy pojawił się niepoprawny odkrywca cudem ocalonych Dymitrów, książę Adam Wiśniowiecki.

W tym dziwnym widowisku kolejne akty przybierały postać komedii bądź tragedii. Tym razem rozgrywała się znów część komediowa. Ledwie co wypuszczeni z więzienia Mniszech i Konstanty Wiśniowiecki znów „rozpoznają” w szalbierzu cudem uratowanego cara i wspierają go całymi siłami. Mało tego — „rozpoznała” go Maryna, która jednak „na wszelki wypadek” wzięła z nim po cichu ślub. Aby skomplikowaną akcję komedii skomplikować jeszcze bardziej, Zygmunt III przypomniał sobie, że ma prawo do tronu moskiewskiego (jako potomek Julianny Twerskiej i Zofii Holszańskiej). Rozpoczęła się „oficjalna” wojna polsko-moskiewska. Carem był Szujski, pod Moskwą w Tuszynie obozem stał drugi Samozwaniec wraz z polskimi ochotnikami, Żółkiewski wiódł wojsko (bijąc srodze pod Kłuszynem 4.7.1610) pod hasłami korony carskiej dla Zygmunta, podczas gdy patriarcha Filaret przyjeżdżał pod Smoleńsk z propozycją powołania królewicza Władysława na tron carski. Polscy ochotnicy z obozu Samozwańca przeszli na stronę Władysława, Dymitr z Maryną i kozakami

odeszli do Kaługi. Wkrótce Samozwaniec padł z ręki kniazia Urusowa. Katoliczka, carowa Maryna oddaje w Kałudze 3-letniego synka, na wychowanie mnichom prawosławnym. Nic to jednak nie pomoże: 3-letnie dziecko zostanie wkrótce powieszone, Maryna zaś kończy żywot w więzieniu. Tragiczny znów był więc ostatni akt tego dziwnego europejskiego widowiska pod ogólnym tytułem „Dymitriada”. Widowiska, którego inicjatorami i ważnymi aktorami byli dwaj kniaziowie Wiśniowieccy.

W czasie gdy Adam i Konstanty interweniują — z różnym skutkiem — w Moskwie, książę Michał, ożeniwszy się ok. 1605 z córką hospodara mołdawskiego Jeremiego Mohyły, Rainą, prowadzi swoją politykę „wiśniowiecko-mołdawską”. Niewielki bierze udział w wydarzeniach krajowych, a są to czasy dymitriad i rokoszu Zebrzydowskiego, zajęty zupełnie sprawami mołdawskimi. Wraz z innymi spokrewnionymi z Mohyłą magnatami polskimi przebywa często na Mołdawii, pilnując interesów własnych i rodu Mohyłów, niewiele sobie robiąc z tego, że ta działalność prowokuje Turcję, narażając Rzeczypospolitą na najwyższe niebezpieczeństwo.

Walki w Mołdawii, podejmowane na własną rękę, mimo wielu przejściowych sukcesów militarnych (np. zdobycie i obsadzenie przez księcia Samuela Koreckiego Chocimia) nie tylko prowokowały Turcję, ale nadto uczyły magnaterię samowoli i nieoglądania się na władzę centralną. Były więc także w wysokim stopniu demoralizujące. Po śmierci Michała Wiśniowieckiego. Korecki wraz ze swym polsko-mołdawskim wojskiem zostanie rozбитý przez Skinder-paszę i trafi do tureckiej niewoli. Dalszą konsekwencją mołdawskiej awantury będzie klęska cecorska.

Na razie jednak sprawy mołdawskie i kolonizacja Zadnieprza pochłaniały księcia Michała bez reszty.

II. DZIECIŃSTWO JEREMIEGO

Pewnego dnia Roku Pańskiego 1612 dźwięk cerkiewnych dzwonów oznajmił radosną nowinę: oto po siedmiu latach małżeństwa Raina obdarzyła księcia Michała synem ¹ . Pierworodny księcia starosty otrzymał po dziadku gospodarze mołdawskim imię „Jeremi”. Drugie imię „Michał” otrzymał po Wiśniowieckich: ojcu i dziadku. Księżciu Michałowi nie dane było długo cieszyć się synem, już wkrótce, w czasie kolejnej interwencji na Mołdawii umiera, przyjmując w komunii truciznę, którą podał mu nasłany przez przeciwników mnich prawosławny. Zarząd majątkiem i wychowanie dzieci (Jeremi miał jeszcze młodszą siostrę Annę) wzięła na siebie kniahini-wdowa Raina, choć do zarządu tych rozległych dóbr miała, jak się niebawem okazało, poważnego konkurenta. Do Michała należała znaczna wschodnia część Zadnieprza, której ośrodkiem centralnym były Łubnie. Zachodnia część należała do brata zmarłego, Jerzego, kasztelana kijowskiego. Ten wkrótce po śmierci brata zbrojnie zagarnął ziemie, które bratowa uważała za dziedzictwo swoje i swoich dzieci. Raina wniosła więc protest do trybunału, który w 1618 ogłosił wyrok przyznający wdowie wszystkie odziedziczone po mężu włości zadnieprzańskie. W tymże roku zmarł kasztelan kijowski.

Kniahini-wdowa, prawdopodobnie po śmierci męża zdewociała, znalazła się pod przemożnym wpływem metropolity Izajasza Kopińskiego, z dawna zresztą z Wiśniowieckimi zaprzyjaźnionego. W czasie swych kilkuletnich zaledwie rządów wydała kilka przywilejów dla

klasztorów prawosławnych, które oddała pod wyłączną opiekę metropolity, ufudowała też (bądź pozwoliła fundować) dalsze monastera. Wydała także przywilej Kopińskiemu na fundację monasteru mharskiego, niedaleko Łubniów. Na budowę klasztoru ofiarowała drewno z rozbiórki starego zamku łubieńskiego. Sam klasztor został bogato wyposażony ziemią i dwoma młynami. Jakby w przeczuciu bliskiej śmierci księżna kończy akt fundacji monasteru mharskiego klątwą: „a ktoby tę fundację w przyszłości naruszać i kasować miał, albo odejmować to, cośmy nadali, albo na starożytną błahoczystywę wchodnią prawosławną wiarę następował i odmieniał — tedy niech będzie nad nim klątwa!”.

Nie przypuszczała księżna, że klątwa ta spadnie wkrótce na jej jedyne syna.

Raina Wiśniowiecka zmarła w 1619 i została pochowana obok męża w cerkwi zamkowej w Wiśniowcu. Według legendy w grobie ich miały być ukryte wielkie bogactwa. Zwiedziony zapewne tą legendą Włodzimierz Plater, który nabył w połowie XIX w. zadłużone dobra Wiśniowieckich, kazał te groby otworzyć, być może licząc, że ukryty w nich skarb uratuje posiadłość przed ostateczną ruiną. Skarbu nie znalazł, znalazł natomiast „zwłoki pary książęcej, zapewne wskutek dobrego zabalsamowania zupełnie nienaruszone, co więcej, strój i ozdoby wybornie zachowane”. Nogi księcia zgięte były i pokurczone, co Plater tłumaczył sobie, jako „skutki trucizny zadanej mu przez Wołochów”.

Po śmierci matki siedmioletnim Jeremim zaopiekował się daleki krewny ojca, znany nam już z udziału w dymitriadach — książę Konstanty Wiśniowiecki.

Opiekun Jeremiego, wówczas już pięćdziesięciokilkuletni, mający za sobą bogatą przeszłość rycerską i awanturniczą, teraz senator Rzeczypospolitej, pędził wielkopańskie życie,

otoczony wspaniałym dworem. Konstanty, jego rodzina, najbliższe otoczenie, wreszcie dwór cały byli wyznania rzymsko-katolickiego. Jeremi chował się razem z synami dalekiego stryja, z których dwóch (Jerzy i Aleksander) było jego rówieśnikami. Razem z nimi zostaje wysłany na kilka lat do kolegium jezuickiego we Lwowie, aby po jego ukończeniu wraz z kuzynami wyjechać za granicę. Młodzi książęta przebywali w Rzymie, następnie w Padwie (1629). W 1630 wpisali się do albumu Uniwersytetu Bolońskiego:

„Jeremias Michael Korybut, Dux de Wiśniewiec, 1630 1 Maii, Alexander Korybut, Dux de Wiśniewiec anno et die eodem” „Georgius Korybut, Dux de Wiśniewiec, anno et die eodem”

Jak długo tam studiowali i z jakim skutkiem, tego nie wiemy. Sądzić należy, że był to raczej krótki pobyt, którego celem było więcej uczynienie zadość ówczesnej magnackiej modzie ewentualnie nabranie ogólnego polotu i poznanie języka, niż odbycie regularnych studiów.

W każdym razie pobyt Jeremiego w Polonii był krótki, skoro w drugiej połowie 1631 już jest w kraju, a w międzyczasie bawi w hiszpańskich Niderlandach, gdzie zapoznaje się z ówczesną sztuką wojenną, przede wszystkim ze sztuką budowy fortyfikacji. Dlatego mało prawdopodobne wydaje się twierdzenie niektórych biografów Wiśniowieckiego, że walczył też we Francji, po prostu nie miałyby kiedy.

Pobyt na katolickim dworze księcia Konstantego, wychowanie w kolegium jezuickim, wreszcie stałe towarzystwo dwóch kuzynów katolików i wspólny z nimi pobyt we Włoszech sprawiły, że duchowa kondycja Jeremiego ukształtowała się w łacińskiej kulturze zachodniej. Z prowincjonalnego książątka ruskiego, jakim był jego ojciec i dziad, stał się Jeremi magnatem polskim.

Żyjącym i myślącym po polsku. Mało tego, myślącym polskimi kategoriami państwowymi, a nie kategoriami prowincjonalnych interesów dalekich kresów. Jakże innym obywatelem Rzeczypospolitej jest Jeremi od swoich przodków. Jakże różnym od takiego Dymitra Bajdy czy nawet ojca, księcia Michała. Proces, jakiemu uległ Jeremi, nie był czymś wyjątkowym, przeciwnie, był regułą. Polonizacji ulegały nie tylko litewsko-ruskie rody magnackie, ale także większość szlachty. Polska kultura, polskie prawa, a może przede wszystkim polska wolność były czymś szalenie atrakcyjnym i przyciągającym. W ostatnim pokoleniu na katolicyzm w rzymskim obrządku przeszli prawie wszyscy Wiśniowieccy, Zbarascy, a także Ostrogscy i Zasławscy. Z czasem, w odniesieniu do szlachcica, słowo „Rusin” znaczyć będzie nie przynależność narodową czy kulturalną, ale wyłącznie terytorialną, tak jak „Wielkopolanin”, „Mazowszanin”, czy „Sandomierzanin”. Za rody ruskie uchodzić będą zarówno rody ze starego, ruskiego lub litewskiego korzenia się wywodzące, jak i rody rdzennie polskie, teraz na Rusi osiadłe. Jedynym wyróżnieniem pozostanie religia. Ale i to jest wyróżnik wysoce zawodny. W dobie wojen kozackich wiele szlachty prawosławnej walczyć będzie po stronie polskiej; autor cennej kroniki, Joachim Jerlicz, ruski szlachcic prawosławny, spisze ją po polsku, ukrywając się w Ławrze Peczerskiej w Kijowie, przed nożem kozackim.

Obiektywnie rzecz biorąc, powszechne przechodzenie na katolicyzm magnackich rodów prawosławnych było procesem nader dla państwa niekorzystnym, powodującym, że unia brzeska okazała się w gruncie rzeczy niewypałem a ugoda hadziacka nie miała szans realizacji, bowiem rolę ruskiej szlachty i magnaterii wśród Rusinów i protekcyjną wobec prawosławia przejmą z czasem Kozacy. Z nich też, a

nie ze spolonizowanej szlachty wywodzą swój historyczny rodowód XIX i XX-wieczni Ukraińcy.

Wróciwszy z Włoch do kraju w drugiej połowie 1631 roku, dziewiętnastoletni Jeremi wyzwolił się spod opieki stryja. Przejmuje też administrowany dotąd przez opiekuna majątek. Przejęcie tak olbrzymiego majątku potrwa praktycznie aż do 1635 roku.

W początkach 1632 — młody książę nie bacząc na klątwę matki, a może nawet o niej nie wiedząc, porzuca prawosławie, przechodząc na katolicyzm. Jakkolwiek krok młodego księcia był oczywistą konsekwencją jego wychowania w łacińskiej kulturze Zachodu i nie był podyktowany żadnymi względami pragmatycznymi — wywołał wielką burzę na kresach, a i do dziś bywa negatywnie oceniany przez niektórych historyków.

Jeremi Wiśniowiecki był dostatecznie bogaty, by bez względu na wyznanie sięgać po najwyższe dostojeństwa w Rzeczypospolitej. Zmiana wyznania w niczym kariery mu nie ułatwiała. Dlatego też nie ma podstaw do twierdzeń, że uczynił to nie z przekonania lecz z wyrachowania. Natomiast zaniepokojenie tym krokiem kleru prawosławnego jest w pełni zrozumiałe. Pomijając względy natury religijnej, cerkiew prawosławna traciła na kresach możnego protektora i potencjalnego fundatora. Należało się spodziewać, że młody książę nie tylko zaniecha popierania cerkwi, ale że sprowadzi na Zadnieprze konkurentów — duchowieństwo katolickie, że zacznie fundować kościoły i klasztory i na ich rzecz czynić nadania. Realną obawę musiało budzić i to, że tak potężny pan znajdzie z pewnością licznych naśladowców.

Pierwszy zareagował metropolita kijowski, wspomniany Izajasz Kopiński. Ten sędziwy patriarcha, niegdyś przyjaciel rodziców Jeremiego, zwłaszcza przez Rainę bezgranicznym obdarzony zaufaniem, wystosował do Jeremiego błagalny

list. W liście przeplata błaganie z groźbami. Przypomina klątwę matki. Kończy list słowami: „Nie gardź Wasza Książęca Mość wiarą swą, ale wróć do cerkwi bożej!” Próbował apelować do księcia jego kuzyn ze strony matki, Piotr Mohyła, archimandryta Ławry Peczerskiej w Kijowie. Ten — jak się zdaje — rozumiejąc krok Jeremiego nie tyle próbuje go od niego odwrócić, co raczej prosi go, aby nie zmuszał poddanych do zmiany wyznania i nie szykanował cerkwi. Temu wezwaniu Jeremi pozostał posłuszny. Utrzymał stare nadania, dał też nowe np. na rzecz monasteru w Husiatyniu czy dla monasteru mharskiego. Z cerkwią utrzymywał stosunki poprawne, choć fundował odtąd głównie kościoły i klasztory katolickie.

Trudno więc zgodzić się z opinią ukraińskiego historyka Wacława Lipińskiego, który mając Wiśniowieckiemu za złe zmianę wyznania nazywa go z tej okazji: „niedolaszkiem zlaszonym i na katolicyzm przez Jezuitów świeżo nawróconym”. Rozumiejąc, że fakt porzucenia prawosławia był dla współwyznawców czymś przykrym, trzeba także zrozumieć Jeremiego.

W czasie, gdy Jeremi pobierał jeszcze nauki u lwowskich jezuitów i gdy podróżował po dalekich krajach, w Polsce i na jej rubieżach rozgrywały się wydarzenia ważne, a ich wynik wkrótce miał przesądzić o jego losie.

Nie załatwiona była sprawa Inflant. Wojna z Moskwą trwała w najlepsze, klęska cecorska uświadamiała o powadze zagrożenia tureckiego. Coraz wyraźniej widać też było symptomy wewnętrznego rozkładu. Słaba władza centralna, rozbieżność interesów poszczególnych dzielnic Rzeczypospolitej, chroniczny brak pieniędzy w skarbcu i w związku z tym ciągle nie opłacane na czas wojsko, buntujące się i rozłazące przy lada okazji. Do tego prowadzący na własną rękę politykę magnaci dopełniają obrazu stanu ówczesnego państwa.

W Smoleńsku była ledwie garstka wojska, w dodatku nie opłaconego, a więc i nieposłusznego, z najwyższym trudem — raz prośbą, raz groźbą — utrzymywanego w posłuszeństwie przez komendanta Szczuckiego. W tym czasie, kiedy hetman Jan Karol Chodkiewicz bez skutku błaga o posiłki, istnieje zupełnie realne niebezpieczeństwo powstania antypolskiej koalicji szwedzko-moskiewskiej. W tych nader niesprzyjających warunkach Rzeczypospolita podjęła ostatnią próbę wprowadzenia siłą królewicza Władysława na tron moskiewski. W grudniu 1616 Władysław, jako „car i władca Wszech Rosji” ogłosił swym moskiewskim „poddanym”, że wnet wyruszy do Moskwy. W manifestie jego znalazły się też zapewnienia o tym, że nie naruszy w niczym wiary chrześcijańskiej starodawnego, greckiego obrządku, że dbać będzie o dobrobyt kraju, że bojarom zachowa nietykalność ojcowizny etc., etc.

Ekspedycji, która w początkach kwietnia wyruszyła z Warszawy, towarzyszyły nader wymowne ceremonie. Najpierw prymas Wawrzyniec Gembicki wręczył królewiczowi-carowi chorągiew i miecz obosieczny, prosząc, aby pamiętał o Polsce. Prośba ta, jak się zdaje, nie była potrzebna, bowiem już wcześniej Władysław obiecując wiele swym moskiewskim poddanym, jeszcze więcej obiecał Rzeczypospolitej i swemu ojcu. Smoleńsk i Siewierszczyznę miał oddać Litwie, Połock, Wieleż i tę część Inflant, do której Moskwa rości sobie pretensje, obiecał Koronie. Poprosił jednak papieża Pawła V o błogosławieństwo i zezwolenie na koronację w prawosławnym obrządku, którą zamierzał odbyć w Moskwie. Mając przy sobie kniazia Trubeckiego i kilku innych wybitnych bojarów, przyjął w Mohylewie hołd od emigrantów rosyjskich. Słał teraz Władysław dobrotliwe, ojcowskie listy na Kreml, a równocześnie posuwał się zbrojnie naprzód. Jesienią

Dorohobuż, a później Wiaźmia otwarły przed nowym carem bramy.

Ale zwycięski z początku pochód zatrzymać miał wkrótce najstraszliwszy, a zarazem najskuteczniejszy obrońca ziem rosyjskich — sroga rosyjska zima. Jedenastotysięczna armia Władysława została uwieczniona przez mrozy i śniegi.

Równocześnie nie opłacane — to już reguła — wojsko zaczęło się buntować, kozacy wbrew zaleceniom zaczęli grabieże, wzrósł więc opór Rosjan. Chodkiewiczowi nie udało się zdobyć Możajska.

Zniecierpliwiony sejm (luty—marzec 1618) uchwalił podatki ale pod stanowczym warunkiem ukończenia wojny w czasie roku. Od uchwalenia podatku do jego zebrania droga była wówczas w Polsce długa, toteż Sapieha przywozi wojsku — zamiast żądanych pieniędzy — tylko obietnicę zapłaty, wobec czego część wojska się buntuje i odmawia posłuszeństwa. Sprawy zaczynają przyjmować dla Władysława obrót bardzo niebezpieczny, żeby nie powiedzieć, że wprost tragiczny. Od tragedii ratują królewicza Kozacy, pod Piotrem Konaszewiczem Sahajdacznym, przyprowadzeni przez Lwa Sapiehę. Dwadzieścia tysięcy Zaporozców, idących od Zadnieprza aby połączyć się z wojskiem Chodkiewicza, zajmuje kolejno Putywl, Liwny i Jelec.

Ucieszony pomocą Władysław wysyła więc Konaszewiczowi insygnia hetmańskie. Odtąd już hetman zaporoski (ale z łaski cara rosyjskiego i polskiego królewicza a nie Rzeczypospolitej) gromiąc po drodze Wasyla Buturlina, który próbuje zagrozić mu drogę, łączy się z wojskiem Władysława. Tak umocniony królewicz-car przystępuje do szturm Moskwy. Kawaler Maltański, Bartłomiej Nowodworski bombą wysadza jedną z bram moskiewskich (podobnie jak przed laty, kiedy podłożoną przez siebie bombą rozerwał mury Smoleńska), ale szturm